Tom XVII. **Nr. 8.**

11. września **1867.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1, 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Anioł na drodze.

(Dokończenie.)

Wojciech i Józef, dwaj gospodarze, co dawniej kochali i szanowali rodziców Janka, jego zaś dzieckiem znali, widząc że Janek tak sobie źle poczyna, uradzili upomnieć go po ojcowsku i pewnej niedzieli wybrali się do niego. Nie było z nimi starego wójta Bartłomieja, bo już nie żył.

Janek zamiast wziąść sobie do serca poczciwe rady przyjaciół obruszył się tem wielce, że go chcą odwodzić od nauki a do pracy koło roli zachęcać.

— Prostaki jesteście, krzyknął, u mnie nauka nad wszystko; ale kto gnojem przesiąknie, to się na tem nie rozumie.

Gospodarze usłyszawszy taką mowę, zmartwili się bardzo że ich dobre chęci tak źle przyjęto.

— Mój Janku, tyś to prostak, rzecze mu Wojciech, kiedy nawet nie umiesz uszanować siwych włosów.

Janek jeszcze się bardziej obruszył.

— Co wam do mnie, pilnujcie sobie swoich synalów, co tacy mądrzy jak i wy, a mnie dajcie pokój.

Gospodarze wynieśli się nic nie mówiąc, jeno Józef obrócił się jeszcze w progu i pogroził pięścią Jankowi:

— Poczekaj mędrku, pożałujesz ty tego!

Jakoż Janek pożałował swojej porywczości i swego pyszałkowstwa jeszcze tej samej niedzieli, bo gdy przechodził drogą, rzuciło się na niego kilku parobczaków, wciągli go do karczmy i zbili na kwaśne jabłko.

Nie było nikogo coby Janka pożałował, owszem wszyscy się śmiali z niego:

— Dostał mędrek po czuprynie! powtarzał jeden.

— Szkoda że sobie nie wysłał pleców książkami, zauważył drugi.

Odtąd w całej wsi szydzili ludzie z Janka i z jego nauki i z jego upadającego gospodarstwa a skazując palcami na niego i na jego walącą się chatę, wzruszali ramionami z politowaniem i dziwowali się do czego to nauka doprowadzić może. Wszyscy stronili od niego a żadna z dziewek nie byłaby poszła za niego; nawet jednooka Maryna, najbrzydszą w całym Późniku, odwracała się od Janka, szukając dla siebie godniejszego męża.

Janek uczuł się wkrótce bardzo nieszczęśliwym.

— O! nauka szczęścia nie daje, rzekł raz sam do siebie. Oszukał mnie stary, gdy mówił, że prowadzi do majątku i sławy, bo oto na mnie ściągnęła nędzę i szyderstwo. Gdybym go był niesłuchał, byłbym dziś takim prostaczkiem jak drudzy, ale szczęśliwym jak oni i dobrze by mi z tem było. Przeklęte książki! ileście wy mi przyniosły nieszczęścia! O Bartłomieju! kiedyś mię widział na złej drodze, czemuś mnie nie odwiódł, jeno popychał jeno zachęcał?

Odtąd porzucił książki, ani nie zajrzał do żadnej; ale ponieważ odwykł od ciężkiej pracy i teraz jeszcze nie bardzo pilnie pracował koło gospodarstwa, jeno po całych dniach siedział zadumany, zgryziony, żałując lat zmarnowanych. W tem zmartwieniu przyszło mu na myśl stare przysłowie: na frasunek

dobry trunek. Zachciało mu się zakosztować tego lekarstwa i wybrał się do karczmy. Ale wstydził się pójść do karczmy w swojej wsi i poszedł aż do drugiej. Idąc tam, musiał przechodzić koło szkółki i kościoła; przypomniał sobie dziecinne lata, rozrzewnił się bardzo, aż tu idzie ksiądz proboszcz, ten sam co go niegdyś uczył katechizmu. Skłonił się mu, ksiądz go poznał zaraz i zatrzymał.

— Jak się masz Janku? co u ciebie słychać? jak ci się powodzi?

Janek stanął, odkrył głowę, a tak mu się smutnie zrobiło że się ledwie nie rozszlochał.

— O mój jegomość kochany, rzekł — źle mi się powodzi książki mię zgubiły..., i dalejże opowiadać księdzu wszystkie swoje nieszczęścia i zmartwienia; jeno tego nie powiedział gdzie teraz idzie, bo go wstyd było.

Ksiądz go wysłuchał uważnie, wyrozumiał i pomyślawszy chwilę rzekł tak:

— Sameś sobie winien mój Janku. Mędrek i pyszałka niewart jeno wzgardy, a taki co się uczy, ale z nauki nie umie czerpać pożytku, gorszy jest od największego prostaka. Moja rada taka: Najprzód pojednaj się z ludźmi; kogoś obraził, przeproś, a kto ciebie obraził, temu odpuść, książek zaś nie odrzucaj, nie wyrzekaj się ich, ale czytaj nie dla tego aby czytać, albo ciekawość zaspokoić, tylko dla tego, żeby z przeczytanego mieć pożytek. Czytasz historje święte, ucz się z nich jakim masz być względem pana Boga, czytasz historję swojego narodu polskiego, ucz się z nich jacy to byli nasi przodkowie i staraj się być takim, jakimi oni byli, a chroń się tego, co ich zgubiło; czytasz książki gospodarskie, które popisali nasi właśni polscy uczeni dla swoich rodaków, czemu z nich nie korzystasz? Masz tam naukę jak koło roli chodzić, jak bydlę pielęgnować, jak się sady zakłada, jak się pszczoły hoduje, a czemu tego wszystkiego nie czynisz co tam wyczytasz? Czytasz opisy różnych krajów dalekich, a czyś gdzie wyczytał aby był jakiś naród na świecie co by tam ludzie domów nie podpierali gdy im się walą, albo coby książki czy-

tali wtedy, kiedy w polu robota? Tak, tak mój Janku, nie dość czytać, ale trzeba ciągnąć pożytek z czytania, a pysznym nie trzeba być, gdy się więcej wie od drugich, bo i najmądrzejszy nie pojadł jeszcze wszystkich rozumów, a nie ma takiego prostaczka, od którego by się i największy mędrzec nie mógł czego nowego nauczyć.

Tak mówił ksiądz proboszcz. Słuchał go Janek z uszanowaniem, z spuszczoną głową, i rozważał sobie pilnie wszystko co słyszał. A gdy powracał do domu, bo już go odeszła ochota wstąpić do karczmy, dziękował Bogu, że mu pozwolił spotkać w sukni księżej dobrego Anioła, który go odwiódł od grzechu.

Przemówienie księdza proboszcza odniosło pożądany skutek. Janek wezwawszy Boga na pomoc, począł czynić to wszystko co mu ksiądz zalecił, i zrobił się nagle taki rzutki, taki obrotny, że aż się ludzie dziwowali. Urządził sobie gospodarstwo na taki sposób, jak to ludzie doświadczeni w książkach spisali, poprawił dom, założył sad z pasieką. Wszystko to nie odrazu się stało, trzy lata minęło nim wszystko do ładu przyprowadził. A co tylko robił to pierwej i do książek zaglądał, które o tem pisały i radził się starszych gospodarzy.

Od tego czasu zaczął stopniowo przychodzić do dobrego mienia, i odtąd już nikt z niego nie szydził, owszem garnęli się ludzie, aby go mieć pomiędzy sobą, i słuchali go chętnie gdy co mądrego opowiadał. Toż nie trudno mu było znaleźć sobie uczciwą dziewkę za żonę. Właśnie gdy się żenił, przyjechał panicz (ten sam, który go uczył w dzieciństwie), aby objąć gospodarstwo i dziedzictwo po ojcu. Zobaczywszy Janka gospodarstwo i starania, wydziwić się nie mógł jego rozumowi i nacieszyć tą myślą że to on dał temu wszystkiemu początek, a dowiedziawszy się że Janek się żeni, podarował mu na początek parę najpiękniejszych wołów ze swojej stajni. Odtąd Jankowi ciągle coraz lepiej się powodziło i miał u ludzi wielkie poważanie. Toż nic dziwnego, że gdy nie długo potem gromada miała obierać wójta, wszyscy byli zatem aby jego obrać.

Janek nie miał teraz do tego ochoty, i wymawiał się że czasu nie ma, bo i koło gospodarstwa było dość do roboty i do czytania zawsze spokojnej chwili potrzebował. Ale był we wsi staruszek jeden, Mateusz, niegdyś polski żołnierz, ten usłyszawszy że Janek nie chce przyjąć tak zaszczytnego urzędu, w mieszał się w tę sprawę i opowiedział mu ku nauce co następuje a cała wieś przysłuchiwała się pilnie opowiadaniu:

— Trzydzieści kilka lat temu, jak wybuchła rewolucja w Warszawie i Polacy bili się z Moskalami, a każden dobry Polak śpieszył do Warszawy pomagać swoim. Ja wtenczas służyłem we dworze. Jednego dnia nieboszczyk pan woła mnie do pokoju i tak rzecze:

— Mateuszu, wiesz co nowego? ja jadę do Warszawy.

— Domyśliłem się już po co i rzekłem jeno: — Jakto? sam?

— A nie sam, bo z tobą, odpowiedział pan.

— Łzy mi się zakręciły w oczach i rzekłem: Dla Boga, dla Boga, panie, u mnie w polu jeszcze nic nie zrobione, żona z niemowlęciem u piersi, nie da sobie rady, bo i niezdrowa jakoś — a jak mnie zabiją, co się z nią wtedy stanie? W tem pan mnie przeszył takim ognistym wzrokiem, aż ciarki po mnie przeszły i krzyknął groźnie:

— Mateuszu, toż ojczyzna woła a ty się ociągasz?

— Sprawiły te słowa na mnie taki skutek, żem jeszcze tej nocy przedzierał się z panem do granicy. Oj! czemuż dziś głos w mej starej piersi ochrypł, i ogień w oku wygasł, że i do ciebie Janku z takim samym zapałem zawołać nie mogę: „Janku, ojczyzna woła“; bo wieś i gromada to twoja ojczyzna, a to, co oni po tobie żądają, to obowiązek względem ojczyzny...

Jeszcze stary nie skończył, a Janek rozrzewniony rzucił mu się na piersi i dziękował za te jego słowa.

— Przyjmuję wybór, sąsiedzi, zawołał głośno, i tak mi panie Boże dopomóż, święcie dopełnię obowiązku względem ojczyzny.

Zostawszy wójtem Janek, poszedł zaraz nazajutrz do księdza proboszcza, aby mu jeszcze raz podziękować za jego rady i nauki, a gdy od niego powracał, wstąpił i na cmentarz aby się pomodlić na drodze starego niegdyś wójta Bartłomieja. Znalazłszy skromną mogiłkę, ukląkł na niej, modlił się długo, a gdy odchodził z tamtąd, szeptał sam do siebie:

Święte, wasze słowa Bartłomieju: nauka to skarb to światło w ciemności, w przygodzie ratunek, w utrapieniu pociecha. Kto chętnie i z pilnością szuka nauki, ten koniecznie musi być szczęśliwym, a nawet majątku i sławy nabędzie! Ale i wasze słowa księże proboszczu, święte są: nie ma takiego prostaczka, od któregoby i największy mędrzec nie mógł się czego nowego nauczyć. Ach! jakże wiele ja się od starego Mateusza nauczyłem! *N.*

Wójtowa córa.

Ptaszka lekkopióra,
Ta wójtowa córa,
Oczy czarne duże,
A lica jak róże.

Używał swobody,
Krakowiaczek młody,
Przy niej stał się tkliwy...
Oj dziwy! oj dziwy!

U chłopca co w głowie,
Co w sercu to w mowie;
Zakochał się w Zosi,
O rękę ją prosi.

I pędzi godziny,
Przy boku dziewczyny,
Aż powiędniał wszystek
Jak w jesieni listek.

Ściga ją oczyma,
Dogoni, zatrzyma,
— Zosiu stotysięcy,
Nie dręcz mię już więcej!

Ale Zosia płocha,
Stasieńka nie kocha,
Widzi jak usycha,
Przecie go odpycha.

Zaiskrzą mu oczy,
Na konika wskoczy:
— Bądź zdrowa na wieki,
Pójdę w świat daleki.

I w dalekie strony,
Pognał przez zagony:
— Żyj sobie szczęśliwa,
Mnie ojczyzna wzywa.

Przeszła noc, poranek,
Niewrócił kochanek.
Zosia główką wstrząsa,
Gniewa się i dąsa.

Boleść cierpi srogą,
Może łzy pomogą?
Toż żałosnym głosem,
Płacze nad swym losem.

Dziewczęta przybiegły,
Płacz Zosin postrzegły:
— Ej, teraz nie pora,
Trzeba było wczora!

Tak mija dzień po dniu,
Tydzień po tygodniu,
I roczek przeminął,
On już może zginął.

Żałosna dziewczyna,
Swą płochość przeklina,
I po kątach płacze:
— Czy ja go obaczę?

Za lasem, za górą,
Mkną żórawie chmurą,
Pędzą po murawie,
Ej! to nie żórawie,

Na konikach gonią,
Szabelkami dzwonią,
W rękach chorągiewki,
Hej! patrzcie no dziewki!

A ten co na przedzie,
Rząd krakusów wiedzie,
Poskoczy z kopyta
I o kogoś pyta.

Mignął między krzaki,
To nie on..., któż taki?
Zosia zdala stoi,
Domyślać się boi.

Prędko, coraz chyżej,
Coraz bliżej, bliżej,
Przypadł do dziewczęcia,
Porwał ją w objęcia,

Zosia się zapłoni,
Ale się nie broni,
— Dziewczyno, tyś moja!
— Ach twoja! ach twoja!

Matka błogosławi,
Wójt nauki prawi,
Zosia drużki sprasza.
Wiwat! wiwat nasza!

Gotowe wesele,
Ksiądz czeka w kościele,
Klękną na kolana,
Już para związana.

Wracają wesoło,
A krakusy w koło,
Na konikach gonią
Szabelkami dzwonią.

Stanisław Skiba,

opowiadanie o dawnej pańszczyźnie.

Siedział i czytał książkę Stanisław Skiba, znany nam z poprzednich numerów, gdy weszli do izby wójt, przysiężni i kilku starszych gospodarzy, dziękując mu za pośrednictwo

w kupnie lasu i pastwisk od dziedzica Dąbrowy; między nimi był i Szymon Świerk, który to koniecznie chciał procesu.

— Moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba, nie macie za co dziękować, bo to i dla mnie wypadło z korzyścią.

— Oj mamy za co dziękować, mówił wójt, bo jak byśmy byli nie słuchali, to i lasu i pieniędzy nie mielibyśmy. Kiedyś widziałem się w miasteczku z wójtem ze Zbirowa, który mi opowiadał, że się już od lat kilku procesują o lasy, i wszyscy się tak na ten proces pozadłużali, że niektórzy muszą już role sprzedawać, a do procesu namówił ich i prowadzi go ten sam pan Diebcejg, który i nami się chciał opiekować.

— I cóż? pytał się Stanisław Skiba — odebraliście od niego pieniądze, które mu Szymon dał na proces?

— Ale gdzietam, wyrachował za pisanie, za stęple i jeszcze chciał żeby mu dopłacić, odpowiedział przysiężny.

— A widzicie — mówił Stanisław Skiba, zwracając się do Szymona Świerka, że nie trzeba być tak łatwowiernym; przez to i sami straciliście i drugich przyprawiliście o szkodę.

— Ta i któż tam może wiedzieć, odpowiedział Szymon Świerk, może i to kupno na dobre nam nie wyjdzie, bo jak mówił pan Diebcejg, to kiedyś może dziedzic od nas odebrać cośmy od niego kupili a wyprocesowane byłoby pewniejsze.

— Chyba dla tego tylko, że byłby wyciągnął od was ostatni grosz; kupno jest zupełnie prawnie zrobione, i gromada jest już zaintabulowana, to jest kupno zapisane do ksiąg własności i zabezpieczone na wieczne czasy.

— Bóg tam raczy wiedzieć, kto ma słuszność — mówił Szymon Świerk; jak zacznie prawić i przedstawiać, to zdaje się że mówi świętą prawdę, a zawsze nas przestrzega, byśmy z dworem w zgodzie nie żyli.

— Tylko się zawsze procesowali, przerwał Stanisław Skiba — by on z tego ciągnął zyski.

— Straszy nas, mówił Szymon Świerk, że na nas panowie napowrót mogą nałożyć pańszczyznę.

— Ej! najlepiejby było, mówił Stanisław Skiba, żebyście więcej takich wydrwigroszów nie słuchali, co to chcą dla swej korzyści kłócić nas między sobą, pletą wam głupstwa, a wy wierzycie. Pańszczyzna, jak świat światem już się nie powróci.

— Jak ją dawniej panowie nałożyli, mówił Szymon Świerk, tak i później mogą nas do niej zmusić.

— Pan Diebcejg takie chciał nałożyć na was pańszczyznę, rzekł Stanisław Skiba, byście mu co chwila składali pieniądze. Starajcież się tylko by wasze dzieci uczyły się, to nie dadzą się przymusić do żadnej pańszczyzny ani do płacenia takim przybłędom jak pan Diebcejg. Jak ciemnota rodzi złe rzeczy, tak oświata je wykorzenia i do dobrego nakłania.

— A zkąd to wzięła się pańszczyzna? pytał się wójt.

— Przyszła bardzo prosto, mówił Stanisław Skiba. Dawniej gdy nie było urzędników ani becyrków, ani stałego wojska, byli starsi, którzy sądzili spory. Gdy trzeba było, to szli na wojnę, ci zaś co pozostali w domu obrabiali im rolę; a że wojna trwała prawie nieustannie, bo napadał Niemiec, Turek, Moskal lub Tatar, jedni więc się bili, drudzy w roli pracowali.

Z czasem robocizna przeszła w powinność, a ztąd początek pańszczyzny. Później, szczególnie na Rusi, gdzie zrabowane i wyludnione napadem wrogów ziemie dostawali na własność ci, którzy się odznaczyli w wojnie, znosili trudy wojenne i narażali swe życie w obronie całego kraju, ci nowi właściciele sprowadzali ludzi z dalszych okolic kraju, różnemi sposobami ich przynęcając. Obwoływali na różnych miejscach, na jarmarkach i prażnikach o zakładaniu osady na prawach s ł o b o d y, to jest z uwolnieniem od wszystkich powinności i danin na pewną liczbę lat, a gdzieniegdzie dla lepszego poznania na ile lat jest słoboda założona, wbijano na wygonie słupy na kształt krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy już te lata minęły, winni byli osadnicy opłacać czynsz właścicielowi ziemi lub odbywać nałożone powinności. W niektórych

miejscach dawano jeńcom wziętym podczas wojny do niewoli kawały lasu, które korczując przemieniali na orne pola. Ci byli także uwalniani na pewien przeciąg lat, i dopiero po upłynięciu tego czasu obowiązani bywali również do pracy lub danin.

— Czy to wszędzie tak było? zapytał się wójt.

— We wszystkich krajach chłop czyli włościanin był poddanym i zależnym od swego pana, któremu płacił czynsz, daniną lub robocizną, za to nie płacił takich podatków i nie służył w wojsku, chyba że szedł z własnej ochoty, za co mu płacono, lub czasem za odznaczenie się, robiono go szlachcicem czyli panem; dano mu jakąś włość i później sam miał swoich poddanych. Poddany zaś w każdym nieszczęściu miał ratunek u zwego pana, i tak gdy mu chata zgorzała to za darmo dostał drzewa, gdy mu chudoba wyzdechała, to ją dostał, i w każdej potrzebie uciekał się do swego dziedzica.

— To my byli jakoby komornicy? pytał się wójt.

— Tak jest, odpowiedział Stanisław Skiba, z początku byliśmy jako komornicy, później nam przyznano prawo niby wiecznej dzierzawy, a czynszem była nasza praca, i widzicie jasno zkąd się wzięła pańszczyzna. Ci co się osiedlali na gruntach dawanych im przez właścicieli za dobrowolną zgodą, podejmowali się warunków na się przyjętych. Tylko to było niedobre, że każden był uważany za poddanego.

— Jak mi mówił pan Diebzejg, odezwał się Szymon Świerk, z chłopem się tak obchodzono jak by nie był człowiekiem.

— Były wprawdzie nadużycia, mówił Stanisław Skiba, ale to wszędzie, nietylko u nas. W Niemczech taki pan, gdy w zimie na polowaniu zmarzł w ręce, to się w rozprutym brzuchu swego poddanego ogrzewał, i za to mu nic nie było; a w Moskwie do niedawna jeszcze było tak, że poddanych sprzedawano i rachowano na dusze, i tak mógł taki bojar czyli pan sprzedać męża od żony, lub żonę od męża, dzieci od rodziców, rozłączając ich na zawsze. Czasami się zdarzało, że poddany różnemi uczciwemi sposobami przyszedł do majątku, osiadł

w mieście, będąc kupcem lub jakim rzemieślnikiem, prowadził porządne życie, wychowywał delikatnie swoje dzieci, w tem taki bojar sprowadzał go lub dzieci jego zabrał do siebie, i musieli to robić co im kazano, czasem najcięższe roboty. U nas bywały także nadużycia, ale bardzo rzadko i tak wielkich nie było jak gdzie indziej, a gdyby który z was miał władzę i siłę, to tak samo by jej nadużywał, bo to już taka słabość ludzka, że kto może to swoją nad drugim wyższość i władzę ukazuje.

— Z jednej strony było to dobrze, mówił wójt, bo człek nie płacił podatków i nie chodził na wojnę; ale zawsze była to niewola.

— Były niektóre wsie, mówił dalej Stanisław Skiba, a których gospodarze poszli na wojnę z własnej ochoty, lub też co zrobili dla dobra kraju, to król uwalniał ich na wieczne czasy od pańszczyzny i mianował ich szlachtą, a taki szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie.

— Nie mogli tak wszystkich uszlachcić? wtrącił Szymon Świerk.

— Żeby byli wszyscy poczuwali się do obowiązku służenia krajowi w spokoju i wojnie, to byłoby pewno tak było, nawet za ostatniego króla polskiego zebrani na sejmie w Warszawie posłowie, uchwałą 3. Maja 1791 roku, zrobili początek do uwolnienia włościan od pańszczyzny, chcąc zachęcić do obowiązków względem swej ojczyzny, ale Moskal i Prusak, którzy już od dawna mieli zamiar rozdzielić między siebie kraje polskie, przeszkodzili temu, nie chcąc by naród polski wzrósł tym sposobem w potęgę, a i oni by musieli natenczas także i u siebie tak zaprowadzić. Zalali więc swojem wojskiem kraj polski, wzięli króla do Moskwy, senatorów powięzili i na Sybir wysłali, a krajem polskim się podzielili, i w zabranych ziemiach okropnych nadużyć się dopuszczali. Gdy Polakom jarzmo rosyjskie dokuczyło do ostatniego, zrobili powstanie roku 1830 i wypędzili Moskali z Warszawy i kraju. Podczas tego jedni się bili drudzy na sejmie radzili, i wtedy także

w Warszawie na sejmie radzono nad zniesieniem pańszczyzny, a najgorliwszym popieraczem był poseł z województwa krakowskiego, Szaniecki, lecz wkrótce upadek powstania przerwał zabiegi gorliwych o dobro ludu, a Moskale zaczęli gospodarować tak jak dawniej po całym kraju. Dopiero r. 1863 kiedy Moskale uciskiem wywołali znowu powstanie. Władza narodowa wydała dekret zniesienia pańszczyzny we wszystkich krajach dawnej polski, ale wtedy i rząd moskiewski toż samo uczynił, chcąc sobie przywłaszczyć pierwszeństwo. I w naszej krainie Galicji, która także do Polski należała, robiono usiłowania ku zniesieniu pańszczyny; i tak, w r. 1843 na sejmie we Lwowie (choć wówczas włościan tam nie było), uchwalono podać prośbę do cesarza o pozwolenie wysadzenia komisyi, któraby ułożyła projekt zniesienia pańszczyzny. Na co przyszła odpowiedź i po wielu staraniach wybrano taką komisję r. 1845, a kilka lat potem zupełnie zniesiono pańszczyznę.

Włościanie z uwagą słuchali tego opowiadania.

— Tak moi sąsiedzi, mówił dalej Stanisław Skiba, tylko postęp oświaty dał początek zniesienia pańszczyzny, tak samo oświata nie dopuści jej powrotu i nie potrzebujecie się obawiać ani wierzyć podszeptom złych ludzi, którzy dla swej korzyści chcą nas kłócić między sobą. A skoro będziemy oświeceni, co teraz nie jest trudno, bo każdy ma wolny przystęp do szkoły, to z pewnością nie damy się bałamucić wydrwigroszom i żyć będziemy wszyscy w zgodzie jak równi z równymi.

— Gdzie tam panowie przystaną, wtrącił Szymon Świerk.

Tak wam się tylko zdaje, mówił Stanisław Skiba, ot widzicie, ja chłopski syn, a gdzie się tylko zejdę z którym panem, to mię serdecznie wita, rozmawia i zaprasza do siebie, choć wie o tem, że ja nie szlachcic; i na sejmie na jednych ławkach siedzą panowie i chłopi, tylko bieda że nasi włościanie nie mają tyle nauki by mogli być pomocnymi w pracy dla dobra kraju, bo tam tylko siedzą i czasami dają się jeszcze obałamucać takim co to sieją niezgodę. Teraz rozróżnia ludzi tylko wykształcenie, a zrówna nas wszytkich tylko oświata.

— Święta prawda, mówili włościanie i wyszli z postanowieniem pilnowania dzieci, aby się uczyły wszystkiego co im może być pożytecznem.

Józef z Medyki.

Marja, gwiazda morza.

W roku 1854 d. 26. Listopada wypłynął pewien okręt na morze, a celem tej podróży była to część świata daleka, co się zowie Ameryka. Z tamtąd to mamy kartofle, wiele złota, bawełny, cukrowej trzciny, indyki, drogie tytonie, i wszelakie różności zbytkowe i prawdziwie potrzebne. Tam to bił się niegdyś za wolność tamtejszych ludów nasz wielki Kościuszko, tam zginął nasz dzielny Puławski co w konfederacyi barskiej tak sławnie bił Moskali, tam i teraz niejeden rodak tęskni za ojczystą ziemią, biedny wygnaniec, bo Moskale nie dają mu oddychać rodzinnem drogiem powietrzem i w rodzinnej lekkiej legnąć mogile...

Na okręcie tym było wielu katolików ale było także więcej jak dwudziestu protestantów, to jest heretyków, podobnych lutrom, którzy mszy św. i Sakramentów nie odbywają, Matki najświętszej i świętych nie szanują i od kościoła świętego odpadli. Większa część tych podróżnych płynęła do Ameryki za złotem, którego najwięcej znajduje się w krainie zwanej Kalifornia, a mało bardzo było takich między nimi, którzyby myśleli kiedy o tem że są skarby daleko godniejsze trudów i poszukiwania jak wszystko złoto starego i nowego świata. Był także na okręcie pokorny kapłan, uczeń Chrystusowy, jeden z tych gorliwych sług bożych, zwanych missionarzami, którzy rok rocznie po całym świecie się rozchodzą, nie za złotem ale za połowem dusz. Pogoda nie sprzyjała podróży; wytrzymano już dwie wielkie burze, gdy d. 2. lutego trzecia najokropniejsza napadła okręt, a na domiar nieszczęścia, jeden okręt straszliwie uderzył o drugi. Niesłychanie wyła nawałnica na morzu, bałwany wznosiły się wysoko i zapadały topiąc prawie statki,

ciemność okropną przerywały czerwone błyski piorunów, zdawało się że sądny dzień nastał... Kapitan okrętu utracił zupełnie nadzieję ratunku, jęk i płacz był wielki, każden wyglądał pewnej śmierci lada chwila. Ach! okropną jest burza na morzu! Niejeden już w takiej chwili choć bezbożny, nawrócił się do Boga.

Naraz, gdy już niebezpieczeństwo doszło do najwyższego stopnia, kapłan ów zawsze tak cichy, zawołał śmiało do towarzyszy:

— Bracia, miejcie ufność! dzisiaj jest święto Matki Boskiej gromnicznej, wołajmy do Niej z żywą wiarą, aby nas w tej strasznej godzinie płaszczem Swej opieki okryła! Ale są tu między nami protestanci niech z nami wołają i modlą się, niech z nami się połączą, niech od tej chwili obiorą Marję za matkę, jeżeli ich od śmierci wyrwie!...

— Ach dobrze, dobrze! zawołali wszyscy jednym głosem i padli na kolana, bo groza śmierci przeszyła ich serca... a zbłądzone dusze szukać musiały Marji matki i ucieczki wszystkich. Niebo wysłuchało modlitwy tej wspólnej, w kilka godzin burza ucichła, niebezpieczeństwo zniknęło a podróżni odetchnęli swobodniej. Niepodobna opisać ich radości! Protestanci dotrzymali słowa. Pouczeni od pobożnego missionarza wyznali wiarę katolicką i jakby na nowo ochrzczeni przyjęli św. Sakramenta pokuty i ołtarza. Na pokładzie okrętu urządzono ołtarz, przed którym wszyscy podróżni razem składali dzięki Bogu. Reszta podróży odbyła się szczęśliwie. D. 12. Czerwca 1855 roku okręt zarzucił kotwicę w porcie amerykańskim. Pierwszą myślą i pierwszą czynnością podróżnych było, udać się do kościoła, pana Boga i najświętszą Pannę, gwiazdę morza pochwalić.

Ona to, patronka żeglarzy, opiekunka wędrownych, ratunek tonących, śliczna gwiazda naszego życia i gwiazda morza, świecąca wśród nocy i burz, nietylko ich od śmierci wyratowała, ale zawiodła do bezpiecznego portu katolickiego kościoła.

B. E.

Ziele Szalej.

Wszelkie rośliny jakie znajdujemy na tym wielkim świecie, mają bez wątpienia swoje właściwe, pożyteczne przeznaczenie. Jest jednakże wiele jeszcze takich roślin, których właściwego użytku dotąd ludzie całkowicie nie poznali. Do tej liczby roślin, których pożytek jest jeszcze nie wiadomy, a które są znane tylko ze swojej szkodliwości, zalicza się szalej, inaczej zwany lulkiem, a gdzieniegdzie blekotem. Rośnie on zwykle pod płotami, na miedzach, w ogrodach i na pastwiskach.

Roślina ta lubi osobliwie grunt gliniasty; zwykle kwitnie w czerwcu a we wrześniu wydaje już nasionka dojrzałe podobne do maku. Rośnie w miarę dobroci ziemi mniej lub więcej rosochato, kwiat ma lepki a zapach nieprzyjemny; zresztą nie ma potrzeby tej rośliny opisywać, bo ją wszędzie dostatecznie znają.

Szalej zalicza się do roślin bardzo szkodliwych. Ktoby zjadł jego nasienie, dostanie zawrotu głowy, a nawet szaleństwa, które kończy się śmiercią. Nawet zwierzęta najadłszy się korzeni albo nasion tego ziela popadają w odurzenie; taczają się jak pijane, włócząc za sobą chwiejące się nogi tylne.

Utrzymują wprawdzie niektórzy, że roślina ta ma być pomocną na ból zębów, a w razie takim ma się jej używać w sposób następujący: Najprzód rozżarza się węgle drzewne, a wziąwszy garść liści szaleju, rzuca się je na węgle. Potem po nad parą powstałą z palących się liści trzyma się rozwarte usta, tak aby para dochodziła wprost do bolącego zęba. Po takiem naparzeniu ból ma niezadługo ustać, ale tego nie każdy doświadcza i nie zawsze.

Nie wielki to pożytek z szaleju a daleko większa jest jego szkodliwość, dla tego zaleca się gospodarzom, aby to zielsko wszędzie wytępiali ścinając młode łodygi jeszcze przed okwitnięciem.

Chciwość ukarana

Przeszłego roku połowa wsi Mokrotyn wymarła na cholerę. Pan Bóg dotknął kraj nasz, aby się ludzie poprawili. Otóż w wiosce owej była chata, gdzie wszyscy już wymarli; gospodarz, syn jego żonaty, córki wnuczę, sługi, została tylko wdowa po gospodarzu i synowa jej, którą niedawno syn wprowadził do chaty ojcowej. Młoda była potulna i pobożna kobiecina, ale stara okrutnie kłótliwa i niezgodna Przyszła kolej straszna, matka zachorowała także i na łożu śmierci jeszcze doskulała biednej zapłakanej synowej; czując się źle bardzo, kazała zawołać swoich własnych krewnych ze wsi i wszystką odzież swoją, korale, bieliznę i cały majątek kazała im zabierać sobie; synowa pokrzywdzona odezwała się nieśmiało: Matko! przecie mnie nie wyganiajcie z chaty bez niczego. Ale niedobra kobieta złajała ją i kazała ruszać precz z chaty, gdzie nie ma nic swego, bo nic nie wniosła.

Wkrótce umarła wśród swych krewnych, którzy skrzętnie zbierali kożuchy i świty, a biedna synowa co się napracowała ciężko, stała pod płotem i płakała z sieroctwa swojego. Cóż się stało? Chciwi krewni co zabrali cały majątek i cieszyli się piękną odzieżą, nie myśląc nawet, aby choć jedno dać pokrzywdzonej synowej, zabrali sobie zarazę z domu umarłych, niespożytkowali pięknej odzieży, wszyscy do jednego wymarli; a wypędzonej biednej kobiecie, przyznał potem sąd zabrane mienie. Ona dzięki Bogu zdrowa i czerstwa krząta się teraz koło gospodarstwa i wychowuje sierotę. Oby jej pan Bóg błogosławił

Tak to zwykle karze Stwórca niebieski wszelką chciwość. Strzeżcie się tego grzechu, bo chciwość nigdy nikomu nie wyjdzie na dobre, owszem zaszkodzi często, a ten co się spodziewał przyjść do dobrego mienia z krzywdą bliźniego, nigdy długo nie cieszy się owocami swego występku.

B E.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.